

## WSPOMNIENIA



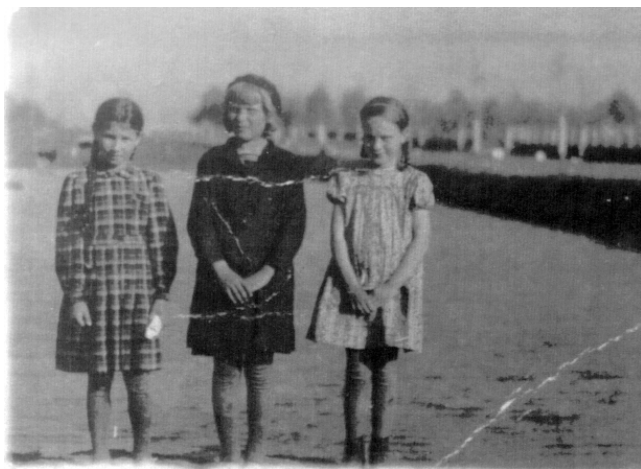
*Przed naszym domem stoją rodzice i Marian Gering kierownik szkoły*

Kilkakrotnie szukałam w atlasie „National Geographic” miasteczka o nazwie Katerburg, które obecnie nazywa się Kateryniwka. Leżało ono 15 km na zachód od granicy rosyjskiej, tyle samo na północny zachód od Krzemieńca. Gdyby po tylu latach zaistniała potrzeba, trafiłabym tam z zamkniętymi oczami. Gminne miasteczko, podobne do wielu innych, rozsianych po wschodnich rubieżach Polski, słynne z jarmarków, odbywających się w czwartki. Sporą grupę mieszkańców stanowili Żydzi, właściciele większości sklepów. Polacy zatrudnieni byli w administracji, policji i szkolnictwie. Reszta to rolnicy, trochę potomków

szlachty i arystokracji. Ukraińcy uprawiali swoje pola i wynajmowali się do pracy u większych gospodarzy.

Dla mnie, małej dziewczynki, był to zaczarowany zakątek świata. Wiosną kwitła czeremcha, jabłonie, bzy i wszystkie najpiękniejsze krzewy i kwiaty pod słońcem. W modrzewiowym lasku świergotały ptaki. Wiatr ostrożnie kołysał pełne kłosa zboża, wyrosłego na czarnoziemiu wolińskiej. Tu i ówdzie do słońca wdzięczyły się maki, bławatki, rumianki i kąkole. Ukrainki, po pracy przy zbiorach zboża, wieczorem wracając do swych wsi melodyjnie śpiewały, harmonizując głosy do perfekcji. Jesienią

na opustoszałych polach, palono perz. W powietrzu unosił się dym i zapach pieczonych kartofli. Zimą biały puch otulał świat. Melodia dzwonek, cicho sunących sań, zakłócała ciszę. Dzieci, w towarzystwie psów, harcowały po śniegu, płosząc kraczące wrony. Obrazy szczęśliwych, dziecinnych lat coraz bardziej rozplywają się we mgle czasu. Coraz trudniej wywołać je z pamięci.



*Trzy koleżanki: Józia Szczerbiak, Lila Pączek  
Koltonowska i ja*

O wybuchu wojny dowiedzieliśmy się z komunikatu radiowego. Zmobilizowani w poborowym wieku mężczyźni, opuszczają rodziny. O Katerburg zahaczają pierwsi uciekinierzy i wojskowi. Odpocząwszy, kierują się ku granicy rumuńskiej. Wycie syreny, oznajmiającej nadlatujące niemieckie samoloty napelnia grozą, potęguje niepokój i chaos.

Nagle i niespodziewanie wkracza Armia Czerwona. Z nowym rokiem szkolnym, językiem wykładowym jest rosyjski. Ukraińcy zachowują się agre-

sywnie, grożąc, że Polaków wymordują. Na szczęście, dostaliśmy się pod administrację komitetu i milicji żydowskiej. Chociaż oni zakładając czerwone opaski na rękawy, deklarują swoją lojalność dla nowej władzy, są nam przychylni. Niektórzy Polacy, nękani przez Ukraińców, rzucając dosłownie wszystko, przenoszą się w bezpieczniejsze strony. Ojciec

z decyzją czeka na lepszą pogodę. Nasz poseł na Sejm, pan Wnęk, nakazuje nie opuszczać tej świętej ziemi praojców.

Jest luty. Duże opady śniegu zapowiadają ostrą zimę. Dziesiątego lutego, o czwartej nad ranem, budzi nas łomot kolb karabinów o drzwi. Tej nocy w wielu polskich domach, od ziemi wileńskiej po podolską, gromkie głosy enkawudzi-

stów rozkazywały: „adkroj dwier!” W sumie w ramach pierwszej deportacji, wywieziono z Polski do ZSSR 220 tysięcy obywateli.

Odstawiono nas do posiadłości kpt. Iwanowskiego, pozwalając zabrać „wieszczki i rebiata”. Stamtąd po sprawdzeniu listy, przeznaczonych do deportacji, sańmi okolicznych chłopów przetransportowano na stację kolejową do Krzemieńca. Uzbrojeni, konni krasnoarmiejcy otaczali konwój. Wagony towarowe już na nas czekały. Bojcy,

przypatrując się nam smutnymi oczami, przynaglali do pośpiechu. Okienka wagonów zakratowane, po środku żelazny piecyk, w podłodze dziura.

W Zdołbunowie zmieniamy wagony, pojedziemy szerszymi torami. W naszym wagonie spędzimy resztę lutego i początek marca. Pociąg pędzi na północny wschód, mijając Mińsk, Smoleńsk, Moskwę, Jarosław, aż zatrzymuje się w Kotlasie. Mamy trochę zabranej z domu żywności. Czasem na małych przystankach delegują dwu mężczyzn, którzy eskortowani przez bojów, przynoszą „kicipiatok” i trochę zupy. Odrapane, niechlujne wiadra i cuchnąca zupa nie odstrasza głodnych. Na twarzach dorosłych przerażenie. Świadomość podsuwa myśl, że podobnym szlakiem pędzono niegdyś powstańców, najlepszych synów Ojczyzny. W naszym wagonie bezustannie płacze niemowlę. Z początku natarczywie, potem coraz ciszej, aż milknie na zawsze. Młoda matka straciła pokarm. Codziennie odwiedza wagon oficer NKWD, by sprawdzić listę obecności. Zapytywany o mleko dla dziecka, odpowiadał: „małoka niet.” Na taką odpowiedź, dalsze pytania były bezcelowe.

W Kotlasie czekają na nas sanie. Podzieleni na grupy, jedziemy korytem zamrożonej rzeki pięć dni, zatrzymując się na noc w szkołach i klubach. Przemierzamy bezkresną tajgę. Wyssokie sosny, modrzewie i białopienne brzozy stoją na straży tego ogromnego bezludzia. Z rzadka mijamy małe wioski, często opuszczone. Wreszcie docieramy do celu przeznaczenia, którym jest spory posesiołek Uktym, leżący nad małą rzeką Uktymką. Uktymka

wpada do Jaryngi, ta zaś wody swe wylewa do wielkiej Wyczegdy. Znajdujemy się 50 km od rejonowego miasteczka Jaryńska i 150 km od Kotlasa. Mieszkają tu w drewnianych barakach Ukraińcy i Białorusini, przesiedleni w latach trzydziestych. Przy posesiołku jest mały kołchoz. Nowych przybyszy, włącznie z dziećmi od lat czternastu, zatrudniono przy „lesorubce” i spławie drzewa rzekami do Archangielska. Żywność, w którą zaopatrujemy się w kantorze i stołówce, nie jest odpowiednia i wystarczająca dla ludzi zatrudnionych przy bardzo ciężkiej pracy, ale pomaga przeżyć. W lecie dietę uzupełniają grzyby i jagody, które tak obficie rosną w tajdze. Zesłańcy, z wcześniejszych lat, są bardzo ciekawi wiadomości ze świata. Okazują nam życzliwość. Tylko enkawudzista utrudnia życie Polakom, wymyślając niedorzeczne przepisy. Za błąd przewinienie skazuje na kilkudniowy pobyt w posesiołkowym areście, tzn. „chałodnej”. Młodszym dzieciom nakazano zgłosić się do uktymskiej czteroklasowej szkoły. Nauczycielki, też zesłane, Klaudia Iwanowna i Ksienia Dymitrowna, zaznajamiają nas z językiem rosyjskim i koncentrują się na nauczaniu podstawowych przedmiotów, indoktrynację ograniczając do popularnych wtedy piosenek.

Jesteśmy kompletnie odizolowani od świata. Nikt nie ma radia. Nie wiemy jak się toczy wojna. Pierwsze listy i paczki z Polski bardzo nas podtrzymują na duchu. Czasem krewni szym chcą przekazać wiadomości i pokrzepić na duchu, ale nie jesteśmy pewni, czy je dobrze rozumiemy. W klubie „Krasnyj Ugołok” jest kilka

książek i kilka bardzo starych gazet. Papier, nawet z gazet, jest na wagę złota. Potrzebny do skręcania papierosów.

W okresie letnich wakacji, dzieci pozostawiono samym sobie. Starsze opiekują się małymi, organizując w barakach nabożeństwa majowe. Nauczyliśmy się konspiracji. O naszych religijnych kongregacjach nie może dowiedzieć się enkawudzista, Dokoniuchin. To już nasz drugi rok w Uktymie. Po wakacjach rozpoczynamy czwartą klasę „Uktymskiej Naczelnej Szkoły”. Bardzo uroczysto obchodzono pierwszy maj. Program był tak przeładowany, że scenę w „Krasnym Ugołku” dzieciom obiecano na trzeci dzień. Program planujemy otworzyć polskim tańcem ludowym. Zanim podniesiono kurtynę, spojrzeliśmy po sobie i spontanicznie, murmurando zanuciliśmy: „Witaj Majowa Jutrzenko!” Zaskoczeni rodzice ocierają łzy. Oklaskom nie ma końca. Rosjanie dołączają się do owacji, nie rozumiejąc, że polskie dzieci oddały hold Konstytucji Trzeciego Maja.

Jesienią nagle dorosłych odwołano z bardzo pilnej pracy przy sianokosach. W „Krasnym Ugołku” dwaj oficerowie NKWD ,przybyli z Jaryńska, informują o amnestii. Przed tym oznajmiono nam o napadzie Hitlera na Związek Radziecki, przynaglając do większego wysiłku w pracy. Otrzymanie amnestii według umowy Sikorski-Majski, było dużym zaskoczeniem. Wzruszeni do łez Polacy odśpiewali Rotę. Wyjazd z Uktymu jednak nam utrudniano. Mimo to, w jesieni zanim zamarzła rzeka, tratwami popłynęliśmy do Jaryńska, dalej statkiem do Kotłasu. Na stacji biwakuje mnóstwo polskich zesłańców.

Sensację wywołuje mężczyzna w wojskowym płaszczu z białoczerwoną opaską na rękawie. Radzi zebrać trochę pieniędzy, by kierownik szybciej podstaawił puste towarowe wagony. Informuje, że należy podążać w okolice Kujbyszewa, gdzie organizuje się Armia Polska.

Rozpoczął się najtragiczniejszy okres naszej tułaczki. Nikt się nami nie zajmuje. Jedziemy stłoczeni w towarowych wagonach, bez jedzenia i często wody, zdani na łaskę losu. Nie wiemy jak długo pociąg będzie stać na stacji. Skąpe zapasy sucharów i grzybów nie wystarczają na długo. Osłabieni ludzie zapadają na zdrowiu. Umierają dorośli, umierają dzieci. Wszyscy wspólnie opiekują się sierotami. Jedziemy chaotycznie. Ural przejeżdżamy dwa razy. Czasem stoimy na bocznych torach, na pustkowiu, kilka dni, ustępując pierwszeństwa transportom wojskowym. Krajobraz się zmienia, przed nami pustyne połacie. Na Uzbekistanie pociąg stanął. NKWD rozkazuje wszystkim opuścić pociąg. Ładujemy nieliczne rzeczy na arby, które ciągną osły i razem podążamy do kolchozu. Mieszkamy w rozpadającej się stajence po osłach. Dorosłych i dzieci wysłano do pracy przy zbieraniu bawełny. Uzbekcy sami niewiele posiadają, chętnie jednak pożyczają nam żarna, na których po pracy mielimy ziarno, zmieszane z plewami, jedyna zapłata za pracę i jedyna żywność. Znajdujemy się blisko granicy afganińskiej. W obawie, by ktoś nie uciekł, relokują nas bliżej Taszkentu. Tu, w kolchozie Dżanarik, poznajemy ciężką pracę, głód i wrogie nastawienie Uzbeków. W okolicznych kolchozach

mieszka wielu zesłańców Polaków. Docierają niepokojące wieści. Szerzą się epidemie, umierają ludzie, umierają całe rodziny. Dowiadujemy się, że koło Wrewskoje i Jangiejulu organizują polskie oddziały wojskowe. Kto może i kto ma siły ciągnie tam. Matka, trzymając mnie małą dziewczynkę za rękę, idzie pieszo przez pola i łąki, następnie, pociągami na gapę, trafiamy do Wrewskoje. Plac zalegają tłumy cywilów. Ci, którzy nie zdołali wcisnąć się do małego baraku, rozkładają się pod gołym niebem. Wojskowi dzielą się z nami swoimi skąpymi porcjami żywności. Grasuje epidemia tyfusu i dyzenterii. Zaimprovizowane wojskowe szpitale są tak przepełnione, że przyjmują tylko ciężko chorych. Powstają organizacje Junaków i Junaczek, a dla najmłodszych dzieci Orłęta. Sierocińce ledwie nadążają z przyjmowaniem tych bardzo małych dzieci. W sierpniu, 1942 r. w ramach ewakuacji wojsk gen. Andersa, opuszczamy Rosję. Chociaż nie wiemy, co nas czeka ogarnia nas euforia. Towarowymi statkami płyniemy z Krasnowodzka do Pahlewi.

Gościnna wtedy ziemia irańska, przyciągnęła polskich uchodźców. Cywilną ludność zakwaterowano w pięciu obozach, rozrzuconych wokół Teheranu. Jest to tylko tranzytowy pobyt. Niemal co dzień odchodzą transporty do Indii, Brytyjskiej Afryki Wschodniej i Libanu. Australia i Meksyk przyjęły grupę sierot. Młodzież uczęszcza do szybko powstałych szkół. Nie stać nas na marnowanie czasu. Będziemy potrzebni Polsce. Śmierć nadal zbiera żniwo. Szpitale przepełnione chorymi. Bardzo nas niepokoją wiadomości o postanowieniach zapadłych na konfe-

rencjach „Wielkiej Trójki”. Tragicznych dla nas następstwach postanowień, w pełni jeszcze nie zrozumieliśmy. Filozofujemy, że wojna nie skończona, że sytuacja może się zmienić. Tragiczna śmierć gen. Sikorskiego bardzo nas przygnębiła.

Teheran zatrzymał nas ponad dwa lata. W czerwcu 1944 r. następuje likwidacja polskich placówek, w tym Szpitala Czerwonego Krzyża, w którym zatrudnieni byli rodzice. Jędziemy dalej. W pustynnym Ahwazie wchodzimy na angielski statek „SS City of London” i płyniemy Zatoką Perską i Morzem Arabskim do Indii, gdzie przesiadamy na duży holenderski statek „SS BOSSEVEN” i kończymy podróż Oceanem Indyjskim docierając do Brytyjskiej Afryki Wschodniej. A więc jeszcze dalej od Ojczyzny. Skierowano nas do czterotysięcznego osiedla Tengeru, malowniczo położonego u stóp góry Meru, siostrzanej góry Kilimandżaro. Był to ośrodek szkolenia młodzieży z licznymi szkołami podstawowymi i średnimi. Setki glinianych, okrągłych domków stało w różnych konfiguracjach na terenie wydartym dżungli. Wszędzie morze kwiatów, krzaków i drzew posadzonych przez nowych przybyszy.

W tym skrajnym prymitywie istniała sprawna administracja, świetnie zorganizowane szkoły, liczne drużyny zuchów, harcerek i harcerzy. Tak, jak niegdyś w Katerburgu i tu stanęły trzy świątynie: katolicka, dla małej grupy Ukraińców prawosławna i dla kilku Żydów maleńka synagoga. Dla nas była to cząstka Polski. Czuliśmy się wolni. Byliśmy jednak otoczeni niewidzialnym płotem. Osiedla i przyległych te-

renów nie można było opuścić bez pozwolenia. Wojskowi Anglicy, włoscy jeńcy i greccy plantatorzy, tylko z przepustką mogli odwiedzić Tengeru. Nie mieliśmy czasu analizować tych zarządzeń, byliśmy pochłonięci nauką. Program nauczania był przystosowany do potrzeb kraju i przygotowywał nas do studiów na polskich uczelniach. Słuchaliśmy komunikatów BBC, otrzymywaliśmy prasę. Niepokoili nas nadal wiadomości o niekorzystnej dla nas sytuacji politycznej. Przeżywalismy tragedię Powstania w Getcie. Dowiedzieliśmy się o istnieniu obozów koncentracyjnych. Ze szczególnym zainteresowaniem śledziliśmy przebieg Powstania Warszawskiego. Utworzenie Rządu Lubelskiego zachwiało nami. Dotychczas ciągle tlił się ten mały płomyk nadziei powrotu do Ojczyzny. Tłumaczyliśmy sobie, że wojska nasze walczą u boku aliantów, że mamy na zachodzie dużą armię, odnosimy militarne zwycięstwa. Wycofanie uznania Rządowi Londyńskiemu przez aliantów, obudziło nas z marzeń, odebrało resztę nadziei.

Do osiedla przyjeżdżają delegaci UNRA zachęcając do powrotu do Polski, z narzuconym rządem komunistycznym, z systemem, który poznaliśmy przez tragiczne doświadczenia, od którego cudem uszliśmy z życiem. Nieliczni którzy odnaleźli rodziny, zdecydowali się na powrót. Rodzinom wojskowym zaproponowano wyjazd do Anglii. Reszta czekała co przyniesie los. Wielka Trójka ustaliła nowy porządek świata, przesunęła granice państw. Najeżdźca deportował nas z naszego własnego kraju. Sprzymierzeńcy, u których boku walczyli nasi

ojcowie i bracia, pozbawili nas możliwości powrotu do Ojczyzny.

Wyjeżdżamy z pięknego Tengeru. Wojskowym samolotem lecimy z Nairobi do Londynu, zatrzymując się w Khartum i Tripoli. Docierające do nas wiadomości o aresztowaniu wracających z Zachodu żołnierzy, o wyrokach śmierci, o zsyłkach akowców do sowieckich gułagów i o uprowadzeniu członków Rządu Podziemnego, wpłynęły na decyzję pozostania na Zachodzie.

W Anglii jest nas dużo. Gromadzimy się wokół polskich parafii, klubów i organizacji. Zawieramy znajomości i małżeństwa z byłymi wojskowymi. Rodzą się polskie dzieci. Przy polskich parafiach powstają sobotnie szkółki. Mimo tak milej atmosfery, wiele młodych małżeństw wybiera kraje na odległych kontynentach na stałe osiedlenie. A więc i my lecimy dalej.

Wizę do USA otrzymujemy poza kwotą dla Polaków, w ramach 18 tysięcy polskich żołnierzy spod dowództwa brytyjskiego. Tu wtapiamy się w codzienne życie i tak jak każde młode małżeństwo czas absorbujemy na stworzenie sobie bardziej normalnych warunków. Tyle lat spędziliśmy na tymczasowości, żyjąc nadzieją powrotu do Ojczyzny. Sytuacja polityczna znowu zmienia się. Zimna wojna nasila się. Powracają nikłe nadzieje.

Chociaż jesteśmy zadowoleni z wyboru USA na kraj osiedlenia, często ogarnia nas tęsknota za Polską, której sami nie opuściliśmy, z której brutalnie nas wyrwano. Bynajmniej nie jesteśmy niewdzięczni. Jesteśmy wzorowymi obywatelami tego kraju. Nie wyciągamy rąk po zasiłki, sami zarabiamy

na siebie. Płacimy podatki, sumiennie przestrzegamy wszystkie prawa. Dzieci wychowujemy na cennych, prawych obywateli. Tak spłacamy dług za udzielenie nam schronienia, gdy zostaliśmy bez Ojczyzny.

Sledzimy co się dzieje w Polsce. Nawiązują się pierwsze kontakty. W ramach wymiany przyjeżdżają zespoły artystów z Polski. Jesteśmy na każdym występie. Wszystko, co prezentują przyjmujemy z radością. Siedzenie na twardych krzesłach w niczym nie umniejsza nastroju. Powstają możliwości wyjazdów do Polski. Pierwsza wizyta była bardzo emocjonalna. Ja, dziecko deportowane na Syberię, teraz młoda niewiasta, z mężem i małą córeczką wracam do swej Ojczyzny chociaż na kilka tygodni. Potem było tych odwiedzin wiele, ale już bez dramatycznego napięcia.

Styl naszego życia jest związany ze środowiskiem polskim. Chociaż los przeznaczył nam życie spędzić z dala od Ojczyzny, z wyboru pozostaniemy w swoim środowisku. Ale los jest kapryśny, sprawia nam niespodzianki, kiedy najmniej tego spodziewamy się.

Staszek otrzymał propozycję pracy z firmy kalifornijskiej z biurem w Warszawie. Warunki atrakcyjne. Alinka na studiach. Decydujemy się na wyjazd do Warszawy. Mieszkamy kilka lat w swoim kraju na prawach cudzoziemców. Mam dużo czasu. Przyglądam się życiu w PRL. Rodacy mają tak jak by dwie osobowości. W kontaktach prywatnych są mili i bardzo poprawni. Stanie w kolejkach, potrzeba rozpychania się wyzwala gorsze cechy. Wtedy są nerwowi, opryskliwi i niecierpliwi. Przyglądam się

obchodom pierwszomajowym. Warszawa wystrojona. Łopoczą białoczerwone flagi. Czerwone ostro odcinają się od lazurowego nieba. Wieczorem transmisja galówki przez telewizję z Sali Kongresowej. Twarze widzów bez wyrazu, jak by skamieniałe. Przemówienia prominentów PRL przerywane okrzykami: „Niech żyje towarzyszu pierwszy sekretarz!” W dyskusji pytam męża jak się nazywała Polka, która w okresie rozbiorów podczas nabożeństwa stanąwszy na ławce wygłosiła patriotyczną orację. On tłumaczy, że to nie dziewiętnasty wiek, że są inne metody oporu, że takie egzaltacje nic nie dają.

Jesteśmy świadkami procesji Bożego Ciała. Morze ludzi wypełnia plac przed katedrą, posuwając się w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Tłum przeogromny, zwarty, milczący. Z okazji następnej rocznicy odbyło się nabożeństwo w katedrze Św. Jana. Znowu tłum zaległ plac. Ci, którzy nie zdołali wcisnąć się do katedry, słuchają słów mądrych, doniosłych transmitowanych przez głośniki. Stojący koło nas student, śmiało komentuje wydarzenie i nagle te przezorne słowa ojca: „zaczekaj synku, aż wrócimy do domu”. Niezwykłych przeżyć doznaliśmy z okazji rocznicy Jedenastego Listopada. Podekscytowany Staszek wpadł do domu, by zabrać mnie przed Grób Nieznanego Żołnierza. Wśród licznych wieńców można jeszcze odczytać fragmenty na wstędze wieńca Orłąt Lwowskich. Wieniec Marszałka zakryty innymi wieńcami. Na Zaduszki rusza cała Polska. Od cmentarzy bije łuna światła. Naród pamięta o swoich bohaterach, najlepszych synach Ojczy-

zny. Ogromna, cicha manifestacja narodu żyjącego w przymusie, Święta Bożego Narodzenia wyzwalają radosne wspomnienia z dziecinnych lat. W towarzystwie znajomych idziemy na pasterkę do kościoła w Wilanowie. Informują nas, że tu czasem można spotkać prominentów partyjnych. Tuż przed rozpoczęciem pasterki, niewiasta stojąca przed ołtarzem, doniosłym głosem dała upust patriotyzmowi, oskarżając rządzących o niszczenie narodu, o mordowanie księży. Dwaj dystyngowani panowie, mocno ujawnszy ją pod ręce, wyprowadzili z kościoła. Matko Polko, w chuście na głowie, przedwcześnie pomarszczona twarz, spracowane ręce, przecież nie na galówce trzeba było cię wypatrywać!

W restauracji na Mokotowie, przy sąsiednim stoliku, wesołe towarzystwo

W Teheranie w szpitalu Czerwonego Krzyża, z okazji świąt Bożego Narodzenia otrzymałam spuściznę na całe życie. A oto jej treść:

*Laską Opatrzności i staraniem Rządu Rzeczypospolitej w latach ciężkiej potrzeby, niewoli i wygnania ocalony od zagłady.*

*Przygarniętemu na gościnnej ziemi dalekiego Iranu, w Wilie Bożego Narodzenia, na pamiątkę tego ocalenia, dokument niniejszy daje świadectwo wielkiej, serdecznej wspólnoty naszych uczuć i przypomina dozgonną powinność: Matce swej, Ojczyźnie, dług życia spłacić ofiarną i uczciwą pracą dla jej dobra i wielkości, rodakom zawsze miłość bratnią świadczyć, narodom z którymi los, wojna i wspólne niedole nas złączyły, przyjaźni wiernie dochować, Bogu nie samą modlitwą ale cnotą wdzięczność okazać.*

*W Teheranie, za prezydentury Władysława Raczkiewicza i Rządu Gen. Władysława Sikorskiego,  
24 grudnia 1942*

*Delegat M.P. i O.S.*

*Posel R.P.*